



Kryminał z myszką

75

**Szukam
tego
człowieka**

**Anna
Kłodzińska**

Anna Kłodzińska

SZUKAM TEGO CZŁOWIEKA

Kryminał z myszką – Tom 75

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-09-9

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1979, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Wieczorem pochłodziło, zaczęła opadać mgła. Na szosie było już coraz mniej furmanek, wiozących z pola ziemniaki i kapustę, rzadko też pojawiali się rowerzyści, okutani w grube swetry, obładowani torbami i siatkami pełnymi sprawunków. We mgle zmrok zapadł tak szybko, że choć nie minęła jeszcze szósta, w domach pozapalano światła.

Dębkowski włączył radio. Prowadził swego czerwonego „malucha” pewną ręką, pozwalał sobie na taką szybkość, jaką tylko mógł z niego wyciągnąć. Długa jazda znużyła go, chciał już być w domu. Miał za sobą cztery dni służbowej podróży, cztery dni morderczego uganiania po różnych centralach zaopatrzenia, zdzierania gardła i płuc na ogromnych hałaśliwych podwórzach, w halach, w zadymionych kantorkach i biurach, stawiania półlitrówek i desperackich gróźb w rodzaju: „ja panu pokażę”, co i tak nie wywierało żadnego wrażenia.

– Cholerna robota – mruknął. Zamknął radio, bo zdenerwował go jazgot i ostra perkusja jakiegoś amerykańskiego zespołu. Dodał gazu, szosa była pusta. Za półtorej godziny powinien być w Warszawie. Gorąca kolacja, gorący i zimny tusz, ostatni przed snem papieros. Magda... Nie, żadnych figli w łóżku, Magda musi poczekać do niedzieli. Po sześciu latach małżeństwa te rzeczy nie miały już priorytetu.

Mgła opadła na szosę i światła reflektorów z trudem przedzierały się przez wilgotną, białą zasłonę. Dębkowski zmrużył oczy, wypatrując tego, co mogło być na drodze i co należało ominąć, ale nie zwolnił biegu. W końcu prowadził tylko „malucha”, nie żadną tam ciężarówkę z przyczepą i obawiał się, że prędzej na niego ktoś się napatoczy, niż on sam komukolwiek wyrządzi szkodę.

To się stało nagle, tak diabelnie nagle, sekunda czy dwie... Samochodem jakby targnęło, zakołysał się. Dębkowski zahamował gwałtownie, ale siłą rozpędu potoczył się jeszcze kilkanaście metrów i stanął. Wjechałem na coś – pomyślał, otwierając drzwiczki. – Kamień? Dziura? Nie, to szło drogą... Sarna?

Wysiadł i rozglądał się, ale mgła zgęstniała tak bardzo, iż widoczność zmalała do dwóch, trzech metrów. Uszedł parę kroków, nadśluchiwał. W ciszy październikowego wieczoru słyhać było tylko delikatny szelest opadających zeschniętych liści. Wrócił do wozu, pogrzebał w schowku i wyciągnął stamtąd latarkę. Właściwie był to reflektor z mocnym światłem, które we mgle wydawało się mlecznożółtawe. Zatoczył nim krąg po szosie. Nic na niej nie leżało. Zawrócił więc i wtedy zobaczył.

Na samym brzegu rowu, zwisając głową i rękami w dół, leżał człowiek. Dębkowski przypatrywał mu się przez chwilę. Powiedział sobie, że trzeba podejść bliżej, ale bał się. Mimo woli czekał, aż tamten poruszy się i wstanie. Może go zwymyśla. Może trzeba będzie zapłacić. Trudno, to się zapłaci. Niech tylko wstanie. Niech tylko się poruszy!

Ale ów człowiek nawet nie drgnął. Stracił przytomność – pomyślał Dębkowski. – Uderzyłem go... czym ja go uderzyłem? Błotnikiem czy maską? Zderzakiem? Wreszcie zdecydował się. Podeszedł, stanął tuż obok leżącego, poświecił latarką. Mężczyzna ubrany był w ciemną kurtkę i równie ciemne, chyba brązowe spodnie. Na nogach miał półbuty, widać było kolorowe skarpetki i parę centymetrów jasnego ciała na łydce, tam gdzie nogawka podsunęła się prawie pod kolano. Właśnie w tym miejscu Dębkowski dostrzegł rozszerzającą się krwawą ranę, krew zmieszała się z błotem i żdźbłami trawy.

Noga – stwierdził z pewną ulgą. – Tylko noga. W takim razie po prostu stracił przytomność. Może jest w stanie szoku. Trzeba go...

Przykucnął, w lewej ręce trzymał reflektor, prawą ostrożnie przyciągnął ciało do siebie i odwrócił głowę leżącego, aby zobaczyć twarz. – Psiakrew! – zaklął. Serce załomotało mu niespokojnie, spociał się ze strachu. Cała twarz tego człowieka pokryta krwią i piachem robiła wrażenie jakiejś niesamowitej maski, gęste jasne włosy zlepione były tą krwią i ziemią, do

której przyłgnęło trochę mokrych liści. Spod na w pół przymkniętych powiek spoglądały szkliste oczy o nieruchomych źrenicach.

Dębkowski patrzył na zabitego przez siebie człowieka i nie mógł uwierzyć w to, co zaszło. Już nie można było myśleć o szoku czy utracie przytomności, to był trup i on, swoim samochodem, spowodował śmiertelny wypadek. Gorączkowo przypominał sobie tamte sekundy, próbował odtworzyć moment, w którym poczuł nagłe uderzenie. Czy przed nim, na szosie, szedł człowiek? Czy nagle wyłonił się z pobliskiego rowu? Może była tam jakaś polna ścieżka albo dom? Ale pamiętał tylko, że przed nim była przede wszystkim gęsta mgła. Czy tamten mógł nie zauważyć świateł samochodu? Może był pijany.

Uczepił się tej myśli jak bezsensownej pociechy. Tak, z pewnością to pijak, wytoczył mu się pod koła w chwili, kiedy przejeżdżał przez to miejsce na szosie i dlatego.

I co teraz? Podniósł się, rozejrzał dokoła. Nie dostrzegł, bo nie mógł dostrzec, stojącego na poboczu szosy czarnego mercedesa z wygaszonymi światłami. Wóz zatrzymał się w odległości może pięćdziesięciu metrów od niego, a kierowca – samotny mężczyzna w szarej budrysówce i w czapce na głowie – siedział nieporuszony, jakby czekał na coś czy na kogoś.

Dębkowski nagle zdecydował się. Zaciskając zęby, przesunął zwłoki na sam brzeg rowu i popchnął je silnie, aż stoczyły się po mokrej trawie. Chlupnęła woda, widocznie było jej trochę na dnie. Chciał tam poświecić, ale zdjął go strach. Wrócił do „malucha” i obejrzał wóz na tyle dokładnie, na ile pozwoliło mgliste światło latarki. Wziął z bagażnika ścierkę i starą gazetę, wytarł zderzak, maskę, błotniki – oba, na wszelki wypadek. Na oko nie było widać żadnego otarcia lakieru ani rysy, tylko szkło lewego reflektora było pęknięte i zamazane błotem, może krwią. Przetarł je ostrożnie, potem, wyrzucił do rowu ścierkę wraz z gazetą. Jeszcze słuchał przez parę minut, czy coś nie nadjeżdża. W termosie, który zawsze woził ze sobą, było trochę kawy. Napił się, usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Nie patrząc już na tamten rów ruszył z miejsca, stopniowo nabierając szybkości. W pewnej chwili dojrzał, że brzegi prawego rękawa swetra ma czymś zabrudzone. Uczuł, że z obrzydzenia oblewa go pot i silniej łomocze mu serce. Postanowił po powrocie do domu sam przeprać sweter. Postanowił również nie myśleć o tym, co się stało, wyobrazić sobie, że ta sprawa w ogóle go nie dotyczy. Ot, ktoś tam spowodował wypadek. Ktoś.

Kierowca czarnego mercedesa odczekał, aż fiat-126p ruszy z miejsca i zniknie we mgle. Kiedy nie słyhać już było warkotu silnika, z wolna podjechał pięćdziesiąt metrów i zatrzymał się nad brzegiem rowu. I on, podobnie jak Dębkowski, stał chwilę na szosie nad słuchując, a potem zsunął się zwinnie po trawiastym zboczu i pochylił nad leżącym tam ciałem. Wprawnymi ruchami rąk rozpiął zmarłemu kurtkę, wyjął z zewnętrznej kieszeni portfel i świecąc sobie latarką, uważnie go przeglądał. Znalazł dowód osobisty. Tego widać szukał, bo wrócił z nim do samochodu i szybko, do małego notesu, przepisał dane personalne zabitego człowieka. Potem włożył dowód do portfela, znowu opuścił się na dno rowu, schował portfel tam, gdzie go znalazł, i zapiął kurtkę. Wszystko to robił tak, jakby od dawna zajmował się przeszukiwaniem zwłok leżących w wodzie i jakby nie sprawiało to na nim żadnego wrażenia. Przez cały czas miał na rękach cienkie skórzane rękawiczki.

Po chwili jechał już szosą w tym samym kierunku co kierowca czerwonego „malucha”, ale o ile poprzednio trzymał się za nim tak, by pozostać nie zauważonym, teraz wyraźnie nie przykładał już do tego wagi. Być może zadanie, jakie sobie postawił, zostało wykonane.

*

Dębkowski zaparkował wóz w pobliżu domu. W świetle latarni ulicznej przyjrzał się pękniętemu reflektorowi i obszedł „malucha” dokoła lecz nie znalazł nic, co mogło wzbudzić niepokój. Przez chwilę miał ochotę wstąpić gdzieś do baru na setkę, ale spojrzawszy na zegarek i, choć z żalem, zrezygnował. Była dopiero ósma. Magda przygotowała pewnie kolację i czeka.

Nie lubiła, kiedy przychodził po wódce, zawsze podejrzewała wtedy inną kobietę. Nie zdradził jej dotąd, bo po prostu, nie miał okazji. Na coś takiego trzeba było wyjechać nie służbowo, ale prywatnie i samemu.

Starannie wycierał buty w słomiankę, potem zadzwonił, żeby nie szukać kluczy po kieszeniach. Był piekielnie zmęczony, zziębnięty i zdenerwowany.

– No, nareszcie! – powiedziała, otwierając mu drzwi. – Mówili w radio, że wszędzie na drogach mgła. Bałam się o ciebie. Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście – bąknął, całując ją przelotnie. – Zmordowany jestem.

– Wyobrażam sobie. Ciężka była jazda?

– Średnio.

Wyminął ją, po drodze rzucił teczkę na krzesło i zamknął się w łazience. Usiadł na brzegu wanny, ściskając rękami głowę. Wiedział już, że wbrew postanowieniu nieprędko zapomni twarz tamtego człowieka, zwieszony nad rowem ręce, krew, błoto i tę cholerną mgłę, przez którą stało się to wszystko...

Nikt go nie widział, więc nikt o tym nie wie. Zaraz jutro naprawi reflektor, na szczęście ma w garażu drugi, i nie będzie potrzeby odwiedzania jakiegoś warsztatu.

Rano go znajdą. Albo i nie, bo kto by tam do rowu zaglądał? Czy za rowem było kartoflisko? A może las? Powiedzmy, że go znajdą po dwóch dniach. Chyba że zaczną szukać wcześniej, bo rodzina... Przecież mógł mieć żonę, dzieci, rodziców. Pewnie gdzieś pracował. Nie przyjdzie rano do roboty, więc... Nie, w pracy tak szybko nie podniosą alarmu. Co on robił w tej mgle, wieczorem, na szosie? Przechodził chyba w poprzek drogi. W przeciwnym razie, to znaczy gdyby szedł na przykład środkiem, zauważyłby światła samochodu. Pewnie mieszka w pobliżu. Pomyślał, że nie wie nawet, czy był młody, czy stary. Nic, absolutnie nic nie wie a człowieku, którego zabił.

Magda zastukała do drzwi łazienki.

– Waldek, nie zrobiło ci się słabo? – zawołała niespokojnie.

Szybko odkręcił kran.

– Nie! – odkrzyknął poprzez szum wody. – Zaraz wychodzę.

Usiadł przy stole i żona wniosła na patelni skwierczącą przysmażoną kaszanekę, którą tak lubił, ale kiedy spojrzął na ciemnobrunatną masę, zerwał się z miejsca i znowu uciekł do łazienki. Dostał torsji, męczyły go, bo miał pusty żołądek. Mokry od potu i osłabiony, wywlókł się wreszcie do pokoju i rzucił na tapczan.

– Ty jesteś chory! – przestraszyła się.

Wcisnął twarz w poduszkę, nie był w stanie rozmawiać. Pomogła mu się rozebrać, przyniosła gorącej gorzkiej herbaty i jakieś tabletki. Dałby wiele, żeby móc jej wszystko opowiedzieć, zrzucić z siebie ten ciężar. Ale bał się. Magda, przy całej swej dobroci, była gadatliwa, uwielbiała kawiarniane plotki i za parę dni wiedzieliby o wydarzeniu wszyscy znajomi. Więc musiał milczeć.

Przez następny dzień leżał w domu, do spółdzielni zadzwonił, że jest chory, że pozatławił co należało i chciałby odpocząć. Okazali zrozumienie, co było rzadkością, naczelnik przysłał kierowcę po dokumenty, koleżanki z biura dołączyły kilka życzliwych słów i kwiatek. Rozczulił się, postanowił chorować do poniedziałku, zwłaszcza że następnego dnia była sobota i czwarty dzień miesiąca. Każdego czwartego, od godziny osiemnastej, był w domu. Musiał być. Tak układał sobie wyjazdy służbowe i urlopy, że w te dni siedział w swoim warszawskim mieszkaniu i czekał.

Od trzech lat nikt go nie niepokoił. Zaczynał więc powoli przyzwyczajać się do myśli, że o nim zapomnieli i że już będzie miał spokój. Najpierw zresztą chciał im to powiedzieć otwarcie, na zimno: nie chce więcej, boi się, nie potrafi. Niech się odczepią. Rzecz w tym jednak, że „oni” nie odzywali się, a on nie miał żadnego adresu ani telefonu, nie miał w ogóle żadnego kontaktu prócz tego jednego dnia w miesiącu, kiedy miał czekać na znak od nich.

Był to więc kontakt bierny i wszystko, co chciał im powiedzieć, nie mogło doczekać się okazji.

W tę sobotę mieli przyjść do nich znajomi, ale Waldemar poprosił Magdę, aby przesunęła wizytę na inny dzień. Niech powie, że on źle się czuje i leży. Zanim jednak zadzwoniła, znajomi sami odezwali się, przepraszając, że przyjść nie mogą, bo dziecko im zachorowało na anginę. W sobotni wieczór byli więc sami w domu. Magda pracowała w fabryce, a oprócz tego chodziła na kursy administracyjne. Miała sporo nauki i goście zaczynali ją trochę męczyć, dlatego zadowolona była, że mają wieczór dla siebie. Zjedli nieco wcześniej kolację i Waldemar usiadł przed telewizorem, a żona wyniosła się z zeszytem i książkami do drugiego pokoju.

Kiedy w dzienniku telewizyjnym zapowiadano nadchodzący niż i wiatry słabe z kierunków zachodnich, zadzwonił telefon.

– Słucham – powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Pan Waldemar Dębkowski? – odezwał się obcy głos.

– Tak. Kto mówi?

– Czy otrzymał pan przesyłkę od Feliksa?

– Od ja... – urwał, zrobiło mu się gorąco. A więc jednak. – Tak – powiedział, gorączkowo przypominając sobie odzew – ale przysłał nie to co chciałem.

– Za pięć minut proszę wyjść z domu. – Głos był stanowczy i chłodny. – Czekam na Mokotowskiej przed teatrem obok kiosku „Ruchu”.

Zanim zdążył zareagować, tamten odłożył słuchawkę. Magda wyjrzała ze swego pokoju:

– Kto dzwonił?

– Ze spółdzielni, kolega ma dla mnie jakąś przesyłkę. Muszę wyjść na pół godziny, może na trochę dłużej.

– Nie mógł sam tego przynieść?

– Nie wiem, nieważne.

Wkładał buty, ręce mu trochę drżały. Zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby nie poszedł. Cóż tamten by zadzwonił drugi raz, może zjawiłby się u niego w domu. Ale przecież – myślał dalej, szukając szalika, który gdzieś się zapodział – oto świetna okazja, aby powiedzieć im, że się wycofuje. Co prawda, płacili dobrze. Tyle że za te pieniądze żądali zbyt wiele. Zresztą – kończył myśl, zbiegając ze schodów – jeżeli przez trzy lata mogli się bez niego obejść, to mogą i teraz.

Do Mokotowskiej miał parę minut drogi. Już z drugiego końca placu Zbawiciela dostrzegł obok kiosku spacerującego mężczyznę, który na jego widok ruchem głowy wskazał stojący nie opodal czarny mercedes. Zawahał się na moment, ale gdy tamten otworzył drzwi wozu, szybko wsiadł i ochłonął usłyszawszy jeszcze raz hasło. Pomyłki nie było. Wyrecytował więc formułkę odzewu i samochód ruszył.

Jechali jakiś czas w zupełnym milczeniu. Waldemar układał w myśli zdanie po zdaniu, dobierając najwłaściwsze – tak sadził – argumenty, i spoglądał ukradkiem na swego towarzysza. Jego twarz o rysach dość grubych, twardo wyciosanych, barwy kości słoniowej i o lekko skrzywionych wargach – była mu obca. Mógł mieć czterdzieści dwa, może cztery lata. Prowadził samochód pewnie i rozważnie, na Dębrowskiego nie patrzył. Skręcił wreszcie w jakąś boczną uliczkę i zatrzymał się.

– No – powiedział – teraz możemy pogadać. Proszę. – Otworzył podłużne kartonowe pudełko, było tam kilka gatunków amerykańskich papierosów.

Waldemar zaprzeczył ruchem głowy.

– Dziękuję, nie palę.

– A, prawda! – tamten jakby zreflektował się. – Chyba to już rok, jak pan rzucił palenie. Zdaje się, we wrześnieu?

– Skąd pan wie? – zdumiał się, a zaraz potem przestraszył. – Kto panu mówił?
– Mam na imię Bolesław – kierowca nie zwrócił uwagi na pytanie. – Tym imieniem w każdym razie będę się posługiwał w naszych następnych rozmowach. Dlatego...
– Nie będzie następnych rozmów – przerwał mu. – Jestem zadowolony, że wreszcie otrzymałem jakiś kontakt z wami, ale od razu stawiam sprawę jasno. Skończyłem z tą robotą. Jestem zbyt nerwowy, zmęczony i po prostu nie nadaję się. Odrobiłem to wszystko, co od was dostałem. Jesteśmy kwita. To za duże ryzyko. Dawniej było łatwiej, teraz za bardzo wszystkiego pilnują i w ogóle nie mam chęci.

Umilkł i odetchnął z ulgą. Był uradowany, że poszło mu tak gładko, a milczenie Bolesława przyjął za zgodę.

– Skończył pan? – spytał tamten, kiedy przez chwilę panowała cisza.
– Cóż, powiedziałem chyba wszystko, co należało. Czy coś jest niejasne?
– Nie przyjmuję do wiadomości pańskiej odmowy współpracy. Potrzebujemy informacji i pan musi nam je dostarczyć. Miał pan trzy lata na odpoczynek – w głosie Bolesława dała się odczuć wyraźna ironia – inni miewają trzy dni.
– Ale ja nie chcę, rozumie pan?! – wykrzyknął. – Przestało mnie to bawić.
– Woli pan zabawić się w więźnia?
– Co to znaczy? Starych spraw nikt mi dzisiaj nie udowodni. Salecki nie żyje, zresztą w międzyczasie była amnestia. Sądzi pan, że milicja będzie mogła oprzeć się na pańskim donosie? A sąd? – Roześmiał się, ale głos drżał mu ze zdenerwowania. – Bzdura!
– Nie miałem na myśli tamtych „starych spraw” – odparł Bolesław. – Chce pan odpowiadać za zabójstwo?

– Pan zwariował! Jakie zabójstwo?

Kierowca popatrzył na niego pobłażliwie.

– Dwa dni temu, między godziną osiemną a osiemną trzydziści, na szosie pomiędzy Kamionkiem a wsią Złotów, uderzył pan swoim czerwonym samochodem marki fiat 126p mężczyznę, idącego drogą i zabił pan go. Następnie zepchnął pan zwłoki do rowu i uciekł. Człowiek ten nazywał się Antoni Pyziak, miał lat dwadzieścia dwa, mieszkał we wsi Dąbrowa, a zatrudniony był w Kamionku, w spółdzielni elektromechanicznej „Nowa”, jako ślusarz. Szedł lewą stroną szosy, prawidłowo, natomiast pan prowadził fatalnie. Chyba pomyliły się panu kierunki jazdy, obowiązujące w Polsce. Sto metrów wcześniej zjechał pan w lewo i dlatego zginął młody, niewinny człowiek. Na marginesie, on był zupełnie trzeźwy. Widać nie spodziewał się, że jadący za nim samochód będzie trzymał się lewej strony szosy zamiast prawej. Jest pan absolutnie winien śmierci Antoniego Pyziaka. Jeżeli się nie mylę, sąd wymierza w takich wypadkach karę około dziesięciu lat więzienia, czasem nawet więcej. Pyziak był żonaty, miał dwuletnie dziecko.

Umilkł, zapalił papierosa. Dębowski siedział jak skamieniały, nie mógł wykrztusić słowa. Jak to się stało? – myślał z przerażeniem. – Przecież na szosie nie było nikogo Jak to się mogło stać? Gdzie on był, skąd to wszystko widział?

– Aha, zapomniałem dodać – odezwał się znowu kierowca – że za nieudzielenie pomocy i ucieczkę z miejsca wypadku sąd dokłada jeszcze parę lat. W sumie może to być piętnastka.

– Jechałem prawidłowo – zaprzeczył. – Prawą stroną, nie lewą. On mi wszedł pod koła, była okropna mgła.

– Owszem, była mgła – zgodził się Bolesław. – Dlatego pan mnie nie zauważył. Ale ja widzę z odległości nawet kilometra. Byłem zresztą o wiele bliżej.

– Nie udowodni mi pan tego zabójstwa. Zwłaszcza teraz, po dwóch dniach.

– Za kogo pan nas ma, panie Waldemarze? Sądzi pan, że dysponujemy tylko własnymi oczami? Moi ludzie oglądają sobie właśnie w tej chwili krótki, ale pełen treści film

dokumentalny o wydarzeniu na szosie między Kamionkiem a Złotowem. Żeby było śmieszniej, nasza rozmowa nagrywana jest na taśmę, a pan się już przyznał do zbrodni.

– Kanalia! – Waldemar zamachnął się, ale w tej samej chwili uczuł dotkliwy ból w łokciu, aż ciarki poszły mu po skórze i ręka zwisała bezwładnie. – O Boże! – jęknął. – Ty świni, coś ty mi zrobił, złamałeś mi rękę!

– Nic. Jest nie uszkodzona, bo twoje ręce, będą nam potrzebne. A że boli, tym lepiej. Zapamiętasz tę rozmowę i wyciągniesz z niej odpowiednie wnioski. Kto raz z nami zaczął, ten musi ciągnąć do końca, nie ma odwrotu. Tylko emerytur nie dajemy! – roześmiał się.

Dębkowski z trudem, pojękując, zsunął z ramienia kurtkę i próbował rozetrzeć piekielnie bolącą rękę.

– Gdybym miał czym... – syknął ze złością. – Ach, gdybym miał czym, to bym cię teraz zastrzelił jak wściekłego psa!

– Ale nie masz czym. Mnie nie tak łatwo usunąć z drogi. Jest duża różnica między takimi Pyziakami a mną. Prędzej sam pójdziesz do piachu, niż mi coś uszkodzisz. No, przeszło ci trochę? – udał troskę aż Waldemar poczerwieniał z gniewu. – To możemy porozmawiać o tym, co cię czeka.

– Jak to: co mnie czeka? Co ty chcesz zrobić?

– Nie denerwuj się. Co powiedziałeś żonie przed wyjściem z domu?

– Że kolega ze spółdzielni ma do mnie jakąś sprawę.

– Dobrze. Pamiętaj, że ona nie może nic wiedzieć. Absolutnie nic.

Dębkowski spojrzał na niego posępnie.

– Wiem. Przecież nie pierwszy raz...

– No, to powiedz teraz szczerze, dlaczego chciałeś odmówić współpracy. Ale prawdę! Wzruszył ramionami. Po prostu nie chciał, ale jak to wytłumaczyć, tamten i tak nie uwierzy. Nie odpowiedział.

– Słucham, jakie masz obiekcje. Do partii się nie zapisałeś, to wiemy. Wojującym patriotą nigdy nie byłeś, to też wiemy. Więc o co chodzi? Za mało płaciliśmy?

– Kilka lat temu było łatwiej. Teraz trudno o informacje, ludzie są zajęci swoimi sprawami. Każdy mówi tylko o samochodzie, o działce, o mieszkaniu, o urlopie za granicą. Albo narzeka, że czegoś tam nie ma w sklepach.

– To nas nie interesuje. Owszem kolegów po fachu, ale z innej specjalności. To jednak nie mój dział. Mnie interesuje wojsko. Wszystko co ma związek z waszą obronnością. I ty będziesz dostarczać mi tych wiadomości. Dodam, że za każdą dobrą, podkreślam: dobrą informację, płacę gotówką.

– W „zielonych”? – zainteresował się Dębkowski.

– Owszem, w dolarach. Chyba że wolisz złotówki – roześmiał się. – Ale dolar to pieniądź wysokiej klasy. Dlatego dostaje go tylko ten, kto na to zasłużył.

Waldemar milczał kilka minut, rozważając sytuację w jakiej się znalazł. Gdyby nie ten wypadek... Ale pójść za kraty na dziesięć lat czy więcej? Nie, za nic! Jeżeli milicja dostanie film i taśmę z nagraniem rozmową, to koniec. Gaz otworzyć albo wiać za granicę. A tam oni. Cholerny świat!

Westchnął ciężko, obmacał bolącą rękę. Rzeczywiście trochę przeszło. Że też nie ma z kim się naradzić. A ta kanalia czeka na odpowiedź. Może mi złamać rękę, może zabić. Oni wszystko mogą.

– O jakie wiadomości panu chodzi? – spytał. W tym momencie podjął już decyzje i Bolesław, który obserwował go uważnie, uśmiechnął się z zadowoleniem. Zrozumiał, że „zamrożony” przed kilku laty agent „odtajał”.

– No, wreszcie zaczynamy mówić jednym językiem. Niech pan słucha i niczego nie notuje – przeszedł również na „pan”. Skończyły się wymyślenia, a zaczął ryzykowny jak zwykle w takich sytuacjach interes. – Wojsko, ściślej mówiąc wasze wojsko, to problem

szeroki. Nie oczekuję od pana powszechnie znanych ogólników. Na początek – zniżył głos – zadanie proste: trzeba ustalić, jakie jednostki stacjonują w miejscowościach Zawada Górna, Oleszówek i Wysokie Kościelne. Dwie pierwsze są w województwie bydgoskim, trzecia w elbląskim. Kawałek drogi, ale ma pan przecież samochód, a podróże kształcą. Chcemy o tych jednostkach wiedzieć jak najwięcej: nazwiska dowódców, stan ludzi, uzbrojenie, sprzęt, numery pojazdów mechanicznych, system ochrony zewnętrznej... Dodam jeszcze, że według naszych danych, na razie niepewnych, dysponują one bronią raketową, więc sam pan rozumie, sprawa wysokiej wagi...

– To bardzo trudne zadanie – omal nie wykrzyknął. – Jak pan to sobie wyobraża? Byle jaki wartownik czy patrol może mnie zgarnąć i koniec ze wszystkim. Za dużo ode mnie wymagacie...

– Ale płacimy – przerwał szorstko Bolesław. – Kto panu każe pchać się na wartownika? Przecież to nonsens. Trzeba szukać dojścia innymi kanałami. Przecież ci żołnierze chodzą na przepustki, mają swoje sympatie, odwiedzają różne lokale. Kadra ma jeszcze większą swobodę poruszania się poza obrębem koszar, płaszczyzna styku ze środowiskiem cywilnym jest tu znacznie szersza. Ot, choćby restauracje, stadiony sportowe, kina, urlopy... Mają swoje samochody, są na przykład wędkarzami czy myśliwymi. Okazji znajdzie pan sporo, trzeba mieć tylko oczy i uszy otwarte, a na dodatek dostanie pan doskonały aparat fotograficzny, noktowizor i lornetkę. Z tego można zrobić nie byle jaki użytek, jeśli ma się głowę na karku.

Przez kilkanaście minut tłumaczył, podpowiadał i doradzał, jak powinien postępować, żeby zdobyć informacje, a na zakończenie dodał:

– Przekaz meldunków wyłącznie drogą radiową. Żadnych pośredników, żadnych skrzynek, to zbyt już znane. Dostanie pan aparat nadawczy i tabelę szyfrową.

– Za dużo! – przestraszył się Dębkowski. – Jak pan sobie wyobraża, gdzie ja to przechowam? W domu? Musiałbym wszystko powiedzieć żonie. Aparatura odbiorcza? Szaleństwo! W poprzednich latach posługiwałem się tylko „martwą skrzynką” i było dobrze.

– Ale teraz to nie wystarczy. Dostanie pan odbiornik radiowy, który na oko nie będzie niczym różnił się od normalnego. O umówionej porze, kiedy będziemy przekazywać instrukcję, zaopatrzy go pan w specjalną przystawkę. Na inne przedmioty urządzi pan sobie dobrą skrytkę. W domu, w piwnicy, w garażu, czy ja wiem gdzie. Bez wyposażenia technicznego nic się nie da zrobić. A w każdym razie niewiele. Zresztą co ja pana będę uczył. Przeszedł pan przecież odpowiednie szkolenie. Już pan wszystko zapomniał?

Ostatnie zdanie zabrzmiało groźnie. Dębkowski natychmiast przypomniał sobie nie tylko to, czego uczyli go za granicą, ale i to o czym mówiono mu ukradkiem, i to w wąskim gronie. Przypomniał sobie o paru tajemniczych „zniknięciach” współpracowników czy też raczej słuchaczy tego swoistego instytutu szpiegostwa. Tak, Bolesław miał rację, kto raz z nim zaczął, musi ponieść wszelkie konsekwencje.

– Dobrze – odparł pokornie. – Jakoś dam sobie radę. Kiedy to wszystko dostanę? I w ogóle kiedy mam rozpocząć?

– Od razu. Na razie dam panu aparat fotograficzny.

– Pewnie „Minox”?

Bolesław wzruszył ramionami.

– „Minox” można było u was niedawno kupić w komisach. Zawracanie głowy, to stary aparat, mamy lepsze. O, takie. – To mówiąc, wyjął ze skrytki w samochodzie przedmiot wielkości pudełka od zapalek i wręczył Dębkowskiemu. Ten wziął go z zaciekawieniem i zaczął oglądać.

– Działa na zasadzie „Minox” – spytał niepewnie.

– Tak. To znaczy wykonuje zdjęcia prawie w ten sam sposób, z tym że będą o wiele wyraźniejsze. Jest niezwykle precyzyjny, a przy tym łatwy w obsłudze. Właśnie dlatego

nazywa się „Girl” – roześmiał się. – Zaznaczam, że jednak dość drogi, więc radzę nie zgubić. Także z innych względów.

– Rozumiem.

– Zapamiętał pan miejscowości, które wymieniłem?

– Zawada Górna, Oleszówek i Wysokie Kościelne. Województwa: bydgoskie i elbląskie. Znajdę, mam bardzo dokładną mapę. Postaram się najpierw wziąć delegację w bydgoskie. Nie będzie z tym trudności, jeżdżę po całej Polsce. Tylko pora teraz niedobra, październik, drzewa już bez liści, trudno się schować. I na spacer po lesie też trochę późno.

– Wcale nie. Są grzyby, orzechy laskowe. Poza tym jest pan przecież wędkarzem. Ma pan niezgorszy sprzęt, szwedzki i angielski.

Wszystko o mnie wie – pomyślał Waldemar z nagłą złością.

– Tak oczywiście – odparł ulegle. – Jeżeli zbiorę już trochę informacji, to mam czekać na sygnał od pana?

– Skontaktujemy się, powiedzmy, za dwa tygodnie. Wtedy otrzyma pan aparaturę nadawczo-odbiorczą i ustalimy resztę. Chcę się jeszcze porozumieć... – urwał. – Mam nadzieję, że nie muszę przypominać, jakie mogą być konsekwencje pańskiego ewentualnego pójścia do władz bezpieczeństwa. Będzie pan miał wtedy przeciwko sobie nie tylko nas, ale i ich. Zabójstwo, szpiegostwo... Wystarczy jak na jednego faceta. Rozumiemy się?

– Aż nadto – odparł Waldemar z goryczą. – Niech pan się nie obawia. Od tych władz trzymam się jak najdalej.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI